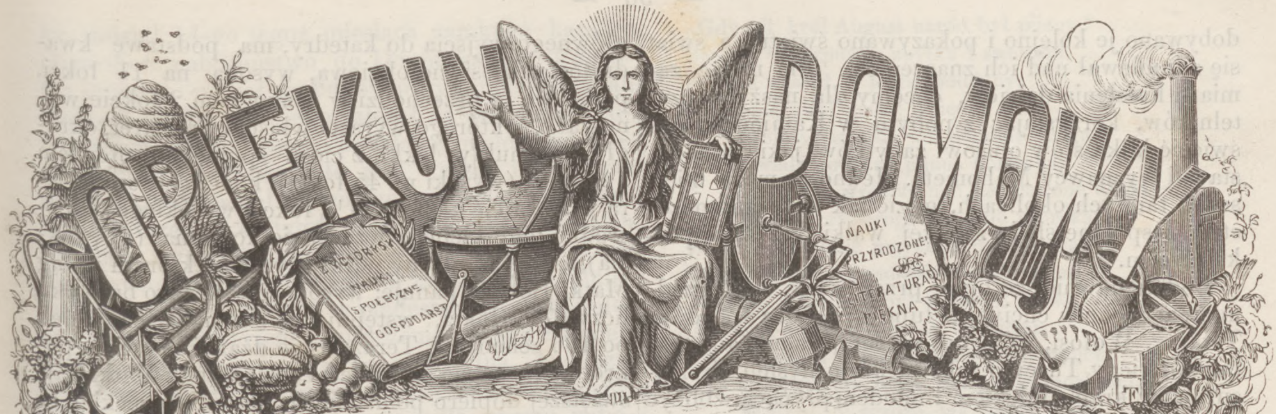


Warszawa dnia 1 (13) Lutego 1867 roku.

Nr 7. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Pamiątki panowania Tureckiego w Kamieńcu Podolskim.

Kamieniec, założony został podług dawnego podania, przez jednego z książąt litewskich Koryjata Olgierdowicza. Najdawniejszą o nim wzmiankę, znajdujemy w Długoszu pod r. 1218. Miasto to



Katedra w Kamieńcu Podolskim z dzwonnicą. (Rysował, podług fotografji Kordysza, Kozarski—wycięto w drzeworytni Minchejmera).

słynęło przedewszystkiem obronną warownią, która długo za niezdobytą uchodziła.

W roku 1621, kiedy sułtan Osman podstąpił pod mury Kamieńca i ujrzał skalistą warownię, zapytał jednego z obecnych: Kto ją zbudował? — Bóg stawiał ją w cudownéj okolicy, odpowiedziano. — To niech ją tam zdobywa—rzekł i kazał zatrąbić do odwrotu.

Zadumany na skalistem wybrzeżu Smotrycza, dziwne miałem marzenia; cofając się w przeszłość dojrzałem, jak po nad tem ustroniem orły tylko szybowały pewnie swego schronienia i zdobyczy, dopóki człowiek nie zapragnął podzielić z niemi panowanie i tu się osiedlić. Czas to tak odległy, że tylko śmiała wyobraźnia może wysnuć obraz dzikiego Kamieńczana, szczepu Słowiańskiego, jak w nurty spienionej rzeki strącał łódź rybacką, albo wpatrując się z młodzieńczem uniesieniem w jasne oblicze słońca, przy dźwięku gęśli nucił pieśń na cześć Światowida.

Od tej chwili, ile to do późniejszego grodu na falach czasu różnorodnych spłynęło pamiątek! Wy-

dobywano je kolejno i pokazywano światu, a świat się zdumiewał nad ich znaczeniem. Nie mając zamiaru kreślenia dziejów, chcemy dla naszych czytelników, korzystając z pobytu w Kamieńcu, poświęcić kilka słów opisowi zabytków jakie tam zostawili wyznawcy Mahometa. Jedno to może miejsce w tamtych okolicach, gdzie tak widoczne pozostały zespolone ślady zaciętéj walki Krzyża z półksiężycem.

Podole dawniejsze było przez wiele lat przedmiotem zachceń chciwych łupów i zaboru sąsiadów: Tatarzy, Wołosi, wdzierali się tutaj gnani żądzą rabunku, kiedy Turcy o zaborze kraju myśleli, aby zbisurmanić krainę mlekiem i miodem płynącą, zbliżyć się do Europy więcej, a potem téj ostatniej narzucić religją, zwyczaje, owładnąć nią zupełnie,—oto była główna myśl Ottomańców, dla któréj urzeczywistnienia wiele krwi przelano, a prowincja Podola na kresach dawniejszej cywilizacji rzucona, musiała z konieczności być widownią sporów i zapasów z wrogiem prawdziwie bohaterskich i nieustannych, była to istna wojenna granica chrześcijańskiej Europy; Kamieniec, stara warownia, była punktem spornym, o który przez długie wieki rozbijała się potęga muzułmańska. Mahomet IV-ty korzystając z niepokojów, pod błachym pozorem wypowiedział wojnę, 19 Sierpnia 1672 r. był już pod murami stałej Petrydawy, a 3 Września t. r. wjechał do katedry miejscowej jako do świątyni muzułmańskiej; podanie utrzymuje, że orszak ten zwycięzców postępował ulicą usłaną obrazami świętych zrabowanych w tutejszych przybytkach pańskich, których było podówczas 23. Turcy zostawali w Kamieńcu przez lat 29 to jest do 23 Września 1699 r. Zostawili po sobie dużo nędzy, wspomnienie ucisku do dziś w podaniu przechowanego, kraj cały w ruinie, miasta rozwalone, pola zarosłe chwastem; na całej bowiem przestrzeni tej krainy ledwie 3 mile polskiej ziemi (od Kamieńca do Zwańca) było używane pod zasiew zboża, a produkcja żywności sprowadzana do warowni Kamienieckiej z Multan i Wołoszczyzny. To też korzystając z tego Jan III, kiedy mu się nieudało miasta z rąk niewiernych odebrać, usypać kazał okopy Świętéj Trójcy (niedaleko Zwańca), w których umieszczona załoga, niepokoiła Turków i często zabierała te transporta żywności. W mieście jako pamiątka ich pobytu zostały: dżamia, minaret przytulony do frontonu katedry, kazalnica z ciosu w podominikańskim kościele, most tak zwany turecki, łączący miasto z właściwą warownią i szpiczaste wschodniéj architektury dachy na bastjonach fortecy.

Dziś o dżamji mówić tu będziemy. Dla zrozumienia należytego opisu, załączam dwa widoki z pracowni p. J. Kordysza fotografa; jeden z nich wyobraża dach katedralnego budynku, wierzchołek minaretu i dzwonnicę katedralną, drugi fronton katedry i minaret; sama świątynia wzniesiona na placu ciasnym, okolonym zewsząd domami, na południowéj jéj stronie, widny duży budynek dwupiętrowy, jest to gmach poseminaryjski staraniem ks. kanonika Gruntowicza wzniesiony i należycie uposażony w r. 1781. A po tym wstępie opiszmy historję minaretu. Zbudowany on był zaraz po zajęciu Kamieńca przez Turków, z niego to mołła mahometański wzywał wiernych na ranne i wieczorne modlitwy, z małemi tylko odmianami przechował się ten budynek do dzisiaj przytulony do frontonu na lewo od głównego wyjścia do katedry, ma podstawę kwadratową dziesięciołokciową, wysoką na 11 łokci, podstawa ta przechodzi w ośmiogram 2 łokcie wynoszący, z którego wyrasta właściwy minaret, okrągły, wysmukły, lekki, z ciosu spojonego ołowiem i żelazem (wysoki na 45 łokci), kończy się on barjerą w kształcie kielicha ($1\frac{1}{2}$ łokcia wysokiego), z pośrodka tego kielicha wznosi się kolumna ($4\frac{3}{4}$ łokcia), na niéj osadzony półksiężyc, nad którym posąg Matki Boskiéj panuje; wysokość cała tego budynku liczy $67\frac{3}{4}$ łokci, wstępuje się zaś na wierzchołek po 136 schodach. Teraz dzieje dżamji opowiem pokrótce; łacno się domyśleć, że wizerunek Matki Najświętszej dopiero po usunięciu niewoli tureckiej, tu został umieszczony, półksiężyca nie zdjęto bo Ottomanie warowali sobie przy opuszczaniu miasta poszanowanie jak dla niego tak i dla ambony do dzisiaj zostającéj w kościele podominikańskim; bisk. kam. Gniński po oczyszczeniu katedry w r. 1704 sprowadził i umieścił na minarecie posąg drewniany Matki Chrystusowej, jednemu zaś z jego następców ks. Mikołajowi Dembowskiemu, bisk. kam. przypisać należy jak poprawienie i odnowienie dżamji, tak też i jéj główną ozdobę: dżamia za czasów tureckiego panowania miała wejście zewnętrzne, nawet w wizycie ks. bisk. Sierakowskiego spotykamy opisanie tych charakterystycznych drzwiczek na jednej zawiasie spoczywających, wiecznie otwartych, otóż ks. biskup Dembowski wejście to skasował, drzwi zaś prowadzące na schody kazał wybić zewnątrz świątyni pod chórem, na półksiężycu zaś umieścił wizerunek mosiężny (zamiast drewnianego dawniejszego) Matki Boskiéj, jest to posąg dęty, pozłacany w ogniu, z wielkim kosztem sprowadzony z Gdańska, wiedzieć bowiem potrzeba, że ma on 5 łokci wysokości; uroczystość wstawienia posągu odbyła się 10 Maja 1756 r., w obec licznie zebranych tłumów, bicia w bębny i nieustannych salw działowych z wałów starej warowni, która tem ogłaszała światu tryumf i zwycięztwo krzyża nad półksiężycem; podanie głosi, że statua ta ustawiona była na górnem piętrze katedralnej dzwonnicy, mającem jednakową wysokość z minaretem i połączonej z nim pomostem, po tym to ostatnim przesuwał się powolnie posąg Matki Boskiéj, za pomocą na ten cel urządzonej maszynerji, zanim doprowadzony został do miejsca, gdzie jest dziś ustawiony. Ale nie tu koniec dziejów minaretu: w Styczniu 1782 r. statua chwiać się zaczęła, w następnym więc miesiącu kapituła Kamieniecka naradzała się jakby złemu zapobiedz, dopiero jednak w 1786 r. umocowano ją, jakim zaś sposobem, wizyty kościelne owczesne o tem nie wspominają. W r. 1820 nowe nieszczęście: 1 Czerwca, w czasie procesji po nieszporach w oktawę Bożego Ciała, piorun uderzył w piedestał posągu, prąd elektryczny przeciągł po tropieniu (sztyber) żelaznym, na którym był on osadzony, rozwalił drewniane sklepienie minaretu i spłynął na dół po słupie dębowym, około którego wiły się schody, w 19 miejscach poczynił w nim wyłomy i naddarcia, a zatrzymał się dopiero w kostnicy pod posadzką minaretu, gdzie zapalił znajdujące się tam spróchniałe drzewo, pożar ugasić zdołano dopiero po odwaleniu podłogi. Takie uszkodzenie nie mogło pozostać bez następstw, to też w kilka lat to jest 9 Kwietnia 1823 r. burza silna pochyliła posąg i piedestał ku wschodowi, a pochylenie było tak znaczne, że ks. Mackiewicz owczesny biskup kam., bojąc się wypad-

ku, musiał 14-go tegoż miesiąca zamknąć katedrę i przenieść nabożeństwo do Dominikanów. Poprawy minaretu podjął się budowniczy kamieniecki pan Szymon Uczta; plan jego zależał na urządzeniu rusztowania, obejmującego podstawę piedestału, które się ztamtąd rozchodziło pod kątem rozwartym mając kształt na pół złożonego parasola, rusztowanie to o trzech kondygnacjach dla pomieszczenia 10 ludzi wystarczające, wznosiło się na 75 łokci nad powierzchnią ziemi; robota zależała na podniesieniu posągu, osadzeniu w piedestale sztybra i umocowaniu go należytem; spuszczenie posągu na miejsce właściwe było już rzeczą podrzędną. P. Uczta wywiązał się z zadania w sposób zadawalniający, roboty ukończył dnia 8 Lipca, a 25 znowu nabożeństwo zostało wprowadzone do katedry. W czasie pożaru w Kamieńcu w roku 1862, kiedy dach spłonął na tej świątyni, posąg jednak został nienaruszony, chociaż przez trzy blisko godziny był w ogniu. Ale wróćmy do minaretu: w dolnéj jego części umieszczony jest nadpis następujący po łacinie, który tu podajemy w dosłownem tłómaczeniu: „Boga Rodzicy Pannie Niepokalanej Orędowniczce miasta, posąg ten wzniesiony przez Mikołaja Dembowskiego, za radą i pomocą zgromadzenia (kapituły?) roku pańskiego 1455.” Ale jeszcze jedno smutne wspomnienie: przed laty kilkunastu (1852) młoda i ładna dziewczyna rzuciła się z minaretu na bruk cmentarza kościelnego..... czy boleść wielka, czy rozpacz popchnęła ją do tego czynu, niewiemy,—nieśmiemy zresztą podnosić tajemnicy zaszłéj prywatnego życia męczennicy, a cichem westchnieniem współczucia i litości czcimy jej samotną niepoświęconą mogiłę; Bóg osądził jéj życie, zważył na szali niepokalanej sprawiedliwości wszystką wędrówkę biednej samobójczyni na téj ziemi, do niego więc należy wydanie wyroku o zmarłej tak wcześnie.... Ale dość o tej biedaczce, niemogliśmy tu jednak przemilczeć o niej, wspomnienie o tej śmierci gwałtownej przylgnęło do murów dżamji panującej nad miastem. Ale ma ona i dnie uroczyste: w czasie mszy pasterskiej i processji rezurekcyjnej stroi się w gierlandę różnobarwnego światła, dziwnie uroczo wśród ciemności nocnej wyglądającego; skroń Matki Zbawiciela jest w gwiazdeczki odziana, wyciąga ona ręce nad miastem i błogosławi ludowi swojemu, zapewniając mu pokój na tej ziemi, cichy pacierz płynie z serca tłumów.....

Kamieniec liczy obecnie 18,000 mieszkańców; z pomiędzy gmachów odznaczają się wspaniałą budową, dom arcybiskupa prawosławnego, kilka cerkwi i kościołów. Okolice Kamieńca należą do najpiękniejszych w południowo-Ruskim kraju.

Dr. Józef Rolle.

POLICZEK.

Powieść J. N. Jaśkowskiego,

(Zdarzenie prawdziwe).

Kto za wielkością, kto za blaskiem goni,
Kto drży przy pieniu okazałéj treści,
A łzy przed cichą cnotą nieuroni;
Niechaj nie słucha téj skromnéj powieści.
　Nawet w te błogie, poezjo, kwiaty
　Stroić nie będę szlachetnego czynu;
　Pokornéj cnocie skromnéj trzeba szaty,
　Gmin mnie zrozumie, ja śpiewam dla gminu.

„Gdy pił król August naród był pijany,”
Brodził w rozpuście zbytku i swawoli;
Pan się weselił, a jęczał poddany,
I nikt nie ulżył nędzy i niedoli.
　Stolicę państwa, jak Sodomę drugą,
　Owiała zewsząd pijana pomroka;
　Wszystko wróżyło noc ciemną, noc długą—
　Próżne przestrogi! nie było proroka;
W onym to czasie przyszedł do Warszawy,
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiéj ziemi;
Zwał się Boduin, a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźniemi.
　I widział w państwa możnego stolicy
　Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
　Widział, o! zgrozo, jak się na ulicy
　Psy ujadły o dziecięcia kości.
Gdy otarł oczy napełnione łzami,
Wzniósł je w Niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty, co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moję czystą, pobłogosław Boże!
　Od téj godziny starca i kalekę,
　Dziecię rzucone na łup poniewierce,
　Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę,
　Bo umiał wmówić litość w każde serce.
Razu jednego, gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł co jego przewodniczył cnotom
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.
　Był to dom graczy. O ty! co w podziele
　Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
　I chleb z nią łamiesz pieczony w popiele,
　Słuchaj i z dumą wznieś ku Niebu czoło.
W bogatéj sali przy zielonym stole,
Dwunastu graczów zasiadło w milczeniu,
Trzynasty z piętnem Judasza na czole;
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.
　Gdyby to złoto co błyszczy przed niemi
　Rozdał ludzkości ginącéj w potrzebie,
　Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi!
　Litości— gdzieżto śmiałem wspomnieć ciebie.
Na téj zapadłéj, trupio-bladéj twarzy,
W oku co mało z głowy niewyleci,
Litośćże ogniem tak dzikiem się żarzy?..
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.
　Patrzcie, to młode szlachetne oblicze
　Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina;
　Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
　A matko, matko! płakać będziesz syna.
Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniéj miotał kruszec złoty,
Głos do pokornéj, cichéj prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.
　W téj właśnie chwili odwiecznym wyrokiem,
　Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
　Gracz przegrał kartę; więc iskrzącem okiem
　Skoczył—kapłana w policzek uderzył.
Rozszedł się odgłos po obszernéj sali,
A potem cisza, potem zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli, powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.
　Choć stał spokojny, cichy, niewzruszony,
　Tylko blask chwały, łza w oku zaswieci,
　Tylko natrętniéj potrząsnął skarbony
　I rzekł: „to dla mnie, Panie! cóż dla dzieci!”
Cnota tak wzniosła godny tryumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczułe;
A złoto czartu niesione w ofierze,
Idzie w ubóstwa i w nędzy szkatułę.

O jeślim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży,
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy—
A uczci męża i w cnotę uwierzy.

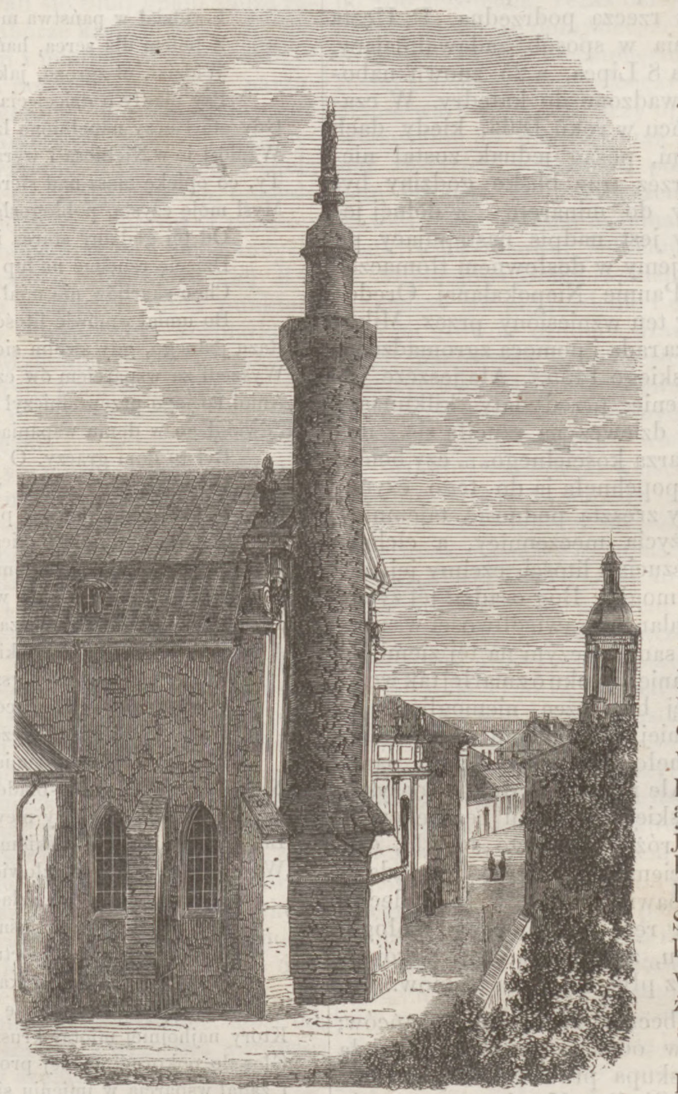
ZBRODNIA NIE UJDZIE KARY,
czyli przygody Żółtego Stefana.
opowiedział
Jaśko Puchacz.

W węgierskiéj ziemi za dawnych czasów, żył pod miastem Koszycami we wsi porządnéj, porządny włościanin, imieniem Jakób. Miał on żonę Małgorzatę i syna Antoniego. Syn Antoni liczył już przeszło dwadzieścia latek, wiódł się nienagannie, szanował ojców, żył w zgodzie z sąsiadami, kochał swych towarzyszów, tańczył czardacza aż huczało, biegał za dziewuchami, że aż skry się sypały, pracował aż do potu—słowem, był to młodzian co się zowie, i do Boga i do ludzi, kochany przez wszystkich, a już rodzice to go tak miłowali, że aż trudno i wypowiedzieć.

O dwie lub trzy mile za wsią, za lasem, ciągnęły się szerokie stepy, bujną trawą rozrosłe—rozkosz dla koni. Włościanie tamtejsi hodowali liczne stada koni i bydła i wypędzali je na stepy. Pasterze nie byli stali—ale co tydzień szli kolejno w step parobcy z sioła i pilnowali stad.

W czasie o którym mówimy, hulał po Węgrzech rozbójnik znany pod nazwą Żółtego Stefana. Robił on szkody nie mało — napadał na wsie, rabował-- napadał na podróżnych, okradał i zabijał — napadał na stada i zabierał bydło i konie. Strachu narobił wszędy nie mało. Więc chociaż pod Koszycami nie widziano go jeszcze, pragnąc atoli uchronić się od napadu, włościanie z owéj wsi pod lasem podwoili liczbę pasterzy i uzbroili ich czém mogli.

Razu jednego, gdy Antoni syn Jakóba, strzegł trzody na stepie, wypadł z lasu Żółty Stefan z kompanami i dalejże do bydła. Antoni raźny i dzielny chłopiec, zebrał na prędce kilku pastuchów, natarł na rozbójników i tak ich przyjął przykładnie, że Żółty Stefan ranny uciekać musiał, zostawiwszy na polu trzech zabitych swych podwładnych. Cieszył się Antoni, cieszyli się z tego jego rodzice, cieszyła gromada cała — ale nie cieszyliby się tak bardzo gdyby wiedzieli, że Żółty Stefan dopadłszy boru, zgromadziwszy swych towarzyszów, pierwszą rzecz którą uczynił, było, iż zaprzysiągł w obec Nieba, ziemi, lasu i rozbójników, że nie prędzéj opuści Koszyc okolice, aż dopóki nie powiesi młodego Antoniego. Ale Antoni o tém nie wiedział.



Fronton Katedry w Kamieńcu Podolskim (str. 50, szp. 1.) Rysował, podług fotografji Kordysza Kozarski (wycięto w pracowni drzeworytniczéj Minhejmera).

Po dzielnéj jego rozprawie z Żółtym Stefanem, nie było jakoś słychać o rozbójnikach. Ucichło i wszyscy byli przekonani, że rozbójnicy zniechęceni nie bardzo gościnnem przyjęciem, i nie chcąc się po raz wtóry spotkać z dzielném ramieniem Antoniego i innych pasterzy—umknęli w dalekie strony i tam probują szczęścia.

Pasterze zmieniali się kolejno, aż wreszcie przyszedł znów czas na Antoniego. Poszedł Antoni. Po tygodniu poszli znowu inni parobcy; lecz ani Antoni, ani jego towarzysze nie wracali. Dziwiono się temu wielce, przemyśliwano jeszcze więcéj i uradzono, że pewnie ze stadem zapuścili się głęboko w step i rychło wrócić nie mogą. Aliści wracają ci co ostatni poszli i donoszą, że ani Antoniego, ani jego towarzyszy, ani bydła i koni nie znaleźli wśród stepu. Stary Jakób jak tylko o tém usłyszał, wziął kij i powiedział żonie: że idzie szukać syna.

Przeszedł przez pola gromadzkie, przeszedł przez las, przeszedł przez stepy i wszedł znowu do lasu, do którego parobcy z wieścią o zaginionych nie dotarli wcale. Ani w polu, ani w lesie, ani w stepach, nie znalazł żadnego śladu o synie i stadzie. Lecz gdy wszedł w las, na pierwszéj sośnie ujrzał swego syna powieszonego; inni parobcy wisieli obok. Na twarzach ich widne były oznaki mocowania się ze śmiercią.

Jak wielki był żal Jakóba, opisać trudno; stracił swe dziecko, swe jedyne dziecko, ulubieńca całej gromady, gwiazdę swego serca, chlubę swojej starości.

Jak tylko obaczył Antoniego wiszącego, poskoczył z kozikiem i odciął trupa —ale darmo, poodcinał i innych, także daremnie—wszyscy nie żyli. Za-

łamał dłonie, łzy zaćmiły mu oczy, ryk wydobył się z piersi, padł przy trupie swego syna i oddał się boleści. Po chwili porwał się z ziemi i dzikim wzrokiem rozejrzał się w około. Na sośnie, na której wisiał Antoni przybita była kartka, a na niej wypisane jakieś wyrazy. Nie umiał Jakób czytać, ale spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia, zdarł kartkę i schował ją. Potem powlókł się szukając jakiej wioski pobliskiej, najął konia z wozem, ustroił i wysłał dębiną i brzeziną, układł cztery trupy i powlókł się z niemi do swej rodzinnej wioski, chcąc pogrzebać wszystkich na ojcowskim cmentarzu.

W pół drogi spotkał gospodarzy jego wsi, którzy także wyszli na wyszukanie zaginionych. Jeden z nich znalazł na wozie między trupami także swego krewnego. Jakób pokazał kartkę, a z kartki wyczytano te wyrazy: „tak mści się Żółty Stefan.” Dowiedzieli się z czyjéj ręki poginęli młodzieńcy. Płacz się zwiększył. Drugi z gospodarzy pobiegł przodem do wioski z nowiną, i wkrótce cała wieś zamieniła się w gromadę pełną płaczu i jęku i wyrzekania. Na wsi bowiem, ludzie żyją jakby w jednej rodzinie.



Cietrzewie—Samica z młodemi (do str. 55-ej).

Smutny wóz z trupami zaledwie wychodził z lasu, a już cała gromada z księdzem, z krzyżem, z obrazami świętemi, z jękiem i szlochami, szła na spotkanie pomordowanych. Na widok woza, pieśni pobożne ucichały coraz więcéj, a coraz silniej wzmagał się płacz gromady, a gdy podeszli do woza i jęli witać biedaków swych braci, to już płaczom i żalom nie było miary. Wreszcie ksiądz proboszcz zaintonował pieśń pobożną i cały orszak ruszył przez pola zielone, po których uganiali się niedawno pomordowani wśród pięknych gajów, które przed chwilą huczały jeszcze odgłosem wesołych pieśni, pomiędzy pięknemi kwiatami, za któremi ubiegali się niedawno parobcy, strojąc niemi swoje kapelusze lub wolnemi chwilami wijąc wieńce dla swych kochanek. Wszystko co dawniej dawało wesele, dziś przypomnieniem zwiększało smutek. A gdy zbliżali się do wioski, a z niej wyszli naprzeciw płaczący staruszkowie i kwilące dzieci i gdy w końcu z kościelnéj wieżyczki ozwał się dzwonek tak boleśnie i tkliwie witający tych, których niegdyś wzywał do modlitwy, to płacz przeszedł już w jeden chór i zdawało się wówczas, że ludzie, natura i dzwonek z wieży, zleli się w jedną całość, aby opłakać nieszczęśliwych co padli ofiarą zemsty, co ponieśli swe życie za to, że święcie wypełniali swe obowiązki, broniąc dobra całej wsi, całéj gromady....

Nazajutrz odbył się pogrzeb.

I minęło po tym wypadku lat kilka. Żółty Stefan broił ciągle, aż wreszcie dostał się w ręce sprawiedliwości i sądu w mieście Koszycach i jako znany złoczyńca bez długich korowodów, skazany został na powieszenie. Że zaś w tym czasie panowała w Koszycach jakaś gorączka zjadliwa, nie wieszano przeto w środku miasta, ale po za miastem. Kat z pachołkami, z urzędnikiem sądowym i z trochą ciekawych, wywiedli Żółtego Stefana do pobliskiego lasu i na pierwszej z brzegu sośnie powiesili go zdjąwszy z niego wedle przepisów zwierzchnie ubranie i buty. Odjechał urzędnik, odjechał kat, rozeszli się ciekawi, zostali tylko przy wisielcu pachołcy kata. Tamtejsze bowiem prawo postanowiło, że powieszony dopiero na drugi dzień po powieszeniu, miał być pogrzebany i że pachołkowie przez cały

czas jak trup wisiał, powinni byli przy nim zostawać. Więc i przy Żółtym Stefanie zostali pachołcy. Dopóki był dzień nie robili sobie oni nic z sąsiedztwa wisielca, ale gdy słońce zaszło, przesądy i bojaźń ogarnęły ich sercami i zmówiwszy się, że nazajutrz skoro świt powrócą i pochowają powieszonego, manowcami wrócili do domów.

Przypadek chciał, że właśnie w tym dniu, zaniemogła mocno Jakóbowa. Dawali jej i rumianek i miętę i odwar brzozowy i inne leki, ale nie pomagały; boleści wciąż wzrastały. Jakób założył więc konia do wozu i jazda po radę do Koszyc, do doktora. Przyjechał, poradził się, wziął lekarstwo i nie spotkawszy się z nikim, wracał mrokiem do domu. Spieszno mu było, na gawędkę nigdzie nie wstąpił, tak i nie wiedział o powieszeniu Stefana Żółtego, zabójcy jego syna. Już zmierzch był dobry, gdy wjeżdżał do lasu. Patrzy, coś się bieli na drzewie, wyraźnie jakby ktoś wisiał. Przyszedł mu zaraz syn na myśl i rzeknie: obaczmy, może i to jaki nieszczęśliwy. Więc podjechał. Nie pomylił się, człowiek jakiś wisiał. Dotknął się go i zdawało mu się że ciało drgnęło. Bez namysłu zatem, spiął się na drzewo, chlast kozikiem, odciął wisielca i spuścił go powoli na wóz, zaczął go trzeć i zdawało mu się, że w trupie jeszcze serce bije trochę.

— Ha, rzecze do siebie Jakób, spieszmy do domu, a może go jeszcze uratujemy. Kto to wié? może i jego powieszono lub też sam z rozpaczy dopuścił się samobójstwa.

I zaciął konia. Przyjechawszy do chaty znalazł lepiej się mającą żonę. Dał jej przepisane przez doktora lekarstwo i razem z jakąś kobietą będącą przy Małgorzacie, rozpoczął trzeźwić Żółtego Stefana. W istocie trup zaczął się ożywiać. Pochodziło to ztąd, że Stefan jako znawca rozmaitych sposobów, powieszony na sośnie, piętami opierał się o drzewo i zawsze trochę unosił się w górę; tem samem ciężar jego ciała nie dozwolił zasunąć się dobrze pętlicy i przewlekał skon. A jak się tylko ciało dostało w ręce Jakóba i owej kobiety, wnet maleńka iskierka życia jaka jeszcze pozostała, rozdmuchniętą była i zbrodniarz zwolna zaczął przychodzić do życia. Powoli wystąpił rumieniec, rozgrzało się ciało i oddech stał się wyraźnym. Jakób był pewien, że wisielec nie umrze. Wlał mu na dobitkę trochę ciepłego napoju do ust i złożył za piecem na miękkiem posłaniu. Ciepło bowiem w tym czasie było pożądanem — gdyż działo się to na jesieni i to dość późnej.

Załatwiwszy się ze Stefanem, Jakób rozebrał się, zgasił światło, legł w pościeli i wkrótce zasnął wyśmienicie, czego głośne chrapanie było najlepszym dowodem.

Po północy ocknął się Żółty Stefan. Wytrzyszczył oczy i przy świetle księżyca widzi, że jest w jakiejś izbie wieśniaczej. Co to jest? myśli sobie, gdzie ja jestem? Przypomina sobie że on był powieszony, ale czuje że żyje, że leży na miękkiem posłaniu, że widzi światło księżyca, że słyszy chrapanie ludzkie. Myśli i myśli, ale wytłumaczyć sobie tego nie może. Wie tylko, że był sądzony, na śmierć skazany, wyprowadzony za miasto i powieszony na drzewie—więcej nie pamięta: jakiem sposobem tu się dostał i u kogo jest. Myślał z pół godziny, a po pół godzinie doszedł do tego przekonania, że żyje, że jest u kogoś którego nie zna, że wątpliwość aby jemu sądy odpuścili winę i że chcąc uniknąć drugiego postronka, potrzeba czmychać gdzie w jaki kąt. Podniósł się więc — patrzy — nie ma ubrania, ale jest przykryty jakąś sukmaną. Włożył na siebie sukmanę. Niedaleko wisiały na ścianie buty, jak mu się zdawało nowiusieńkie. Wziął buty. Po cichu wylazł na izbę. Na stole leżało z pół bochenka chleba, a że czuł że mu się jeść chce, wziął i chleb za pazuchę od koszuli. Po cichutku domacał się drzwi, otworzył z haczyka i po maleńku wymknął się przed chałupę. Cicho na dworze, wieś cała śpi. Włożył buty i spogląda w którą stronę iść.

— Ale, myśli sobie, idąc, daleko nie zajdę; rankiem mogę się znowu w łapkę popaść. Ot najlepiéj dostanę się do téj oborki, a może tam znajdę konia. Na jakim takim szłapaku prędzej umknę, jak piechoto.

Ozuchwalony więc powodzeniem zbrodzień, skrada się do obórki i powoli otwiera wrota. Ale przy otwarciu, wrota skrzypnęły. Na ten skrzyp kruczek zaszczekał głośno.

W téj chwili Małgorzata jako chora lekko śpiąca, ocknęła się; słyszy, pies zajadle szczeka. Woła więc na męża:

— Jakóbie! Jakóbie! wstańcie.

— A co tam, mruknie przebudzony Jakób.

— Czy słyszycie jak kruczek ujada, może czuje złodzieja.

— Eh! śpij lepiej, szczeka bo to jego zwyczaj. Zkądby tam złodziej.

Ale kruczek ujada coraz wściekléj.

— Hm! myśli Jakób, coś strasznie brecha, trza obaczyć.

Odziawszy się, bierze sękacza gruszczankę i wyszedł. Wyszedł i widzi, że jakiś chłop w sukmanie wyprowadza śpiesznie jego łysą kobyłę z obory.

— A ty psia wiaro złodzieju! wrzaśnie i jednem skokiem był już przy oborze i łup Stefana sękaczem przez łeb. Stefan tylko zipnął i jak długi runął na ziemię.

— A dobrze ci szelmo, ty niecna gadzino, rzekł Jakób, zwiążę cię i marsz do sądu.

Nachylił się i patrzy że się złodziéj nie rusza; szarpie nim—ale gdzie tam—złodziej zabity.

— Ot masz tobie, tom sobie dał licha, jeszcze powiedzą żem w złości go uśmiercił i wsadzą do więzienia.

Wraca do izby i opowiada żonie, co się stało.

— Et, nie masz czem sobie głowy turbować, weź go i zawieź pod miasto i powieś na tej sośnie gdzie wisiał ten, któregoś oderznął. Jutro go pochowają i nikt o niczém nie będzie wiedział.

Podobała się ta rada Jakóbowi, zaprzągł więc do wozu konia, położył trupa, zawiózł go do lasu i powiesił. Uradowany wraca do domu i opowiada kobiecie co zrobił i dziwuje się nad okolicznościami dnia tego, w którym oderznął jednego a powiesił drugiego człeka.

— Ale wiecie co, rzecze Małgorzata, jakoś naszego wisielnika nie słychać, może on tam za piecem i zamarł.

— Ot, tegoby jeszcze brakowało, ale trzeba obaczyć. Zapalił więc łuczywo, idzie za piec i osłupiał. Nie ma wisielnika. Patrzy, nie ma i sukmany i butów.

— Ot tobie masz. To to on, psia bestyja chciał

ukraść *łysą* ale dałem mu też za to. No i buty nowiusieńkie przepadły i sukmana przepadła.

Co ma przepaść. Dosiądź *kasztanka* co tchu, podjedź do niego i ściągnij buty i sukmanę. Tylko się śpiesz.

Nie ma co robić. Stary Jakób wyprowadza kasztanka i dalej jazda do lasu.

Ale na tych jeżdżeniach tam i napowrót zeszła noc i świtać poczęło. Nim Jakób na kasztanku ćwierć drogi zrobił, przyszli oprawcy aby pochować powieszonego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! a to co! wykrzyknęli.

Wisielec, którego wczoraj powiesili tylko w spodniach i koszuli, wisi—ale w nowiutkich butach, w porządnej sukmanie i z bochnem chleba, wyglądającym z za pazuchy. Oprawcom włosy na głowie drutem stanęły ze strachu. To djabelska sprawa, mówią do siebie i żaden z nich ani myśli dotknąć się trupa. Wszyscy zestrachani pobiegli co prędzej z nowiną do kata. Kat myśli sobie: czy pogłupieli, czy ich tuman ogarnął, ale wstał i podjechał pod las patrzy—prawda. Żółty Stefan wisi w butach, sukmanie i z bochenkiem chleba. Nie wié, jak sobie wytłumaczyć to zdarzenie, ale jako rozsądniejszy od swych pomocników, nie upatrywał w tem nic djabelskiego.

— Ot!—rzecze schowajmy się w krzaki, a może dowiemy się czegoś.

Jak rzekł, tak zrobili. Wleźli między krzaki i siedzą, siedzą i patrzą. Patrzą i widzą, że jakiś chłop na podjedku zdąża lasem co sił w ich stronę. Podjechawszy pod wisielca, przystanął, przeżegnał się i nuż ściągać buty; ściągnął jeden, ściągnął drugi i wspiąwszy się na drzewo, jął ściągać sukmanę. Ale w téj chwili krzyknął kat, ludzie jego wybiegli i otoczyli wisielca i Jakóba, mocującego się nad ściągnięciem rękawa z ręki wisielca.

— A wy tu co robicie, huknął kat, po co go obdzieracie?

— Obdzieram ja go, bo i on mnie obdarł, rzecze Jakób.

— Jak to, wisielec was obdarł po śmierci swej, co wy pleciecie?

— Djabła tam po śmierci, a może i po śmierci, ale po drugiej śmierci, tacy bowiem złoczyńcy to widać dwa razy umierają.

Tu stary Jakób opowiedział całą swą przygodę od wczoraj wieczór, aż po ranek dzisiejszy. Dziwili się wszyscy, a kat wyrzekł, że będąc w mieście w dniu wczorajszym powinienby wiedzieć, że wieszano Żółtego Stefana.

— Więc to Żółty Stefan?! wykrzyknął Jakób, zabójca i morderca mego Antosia! O Boże, jak jesteś sprawiedliwym, dopuściłeś abym ja stał się pomścicielem krzywdy, jaką on wyrządził memu najukochańszemu synowi. Sprawiedliwe i mądre są wyroki Nieba!

I opowiedział zdziwionym oprawcom morderstwo swego syna. Uklękli wszyscy i zmówiwszy cichą modlitwę za duszę Antosia i za duszę powieszonego, powstali, a kat żegnając się ze starym Jakóbem wyrzekł te słowa, że: *Zbrodnia nigdy nie ujdzie kary*. Choć przypadek i okoliczności wybawią czasami zbrodniarza od kaźni, przyjdzie atoli koniecznie czas, przyjdzie koniecznie ta godzina, w któréj kara spadnie na zbrodniarza—bo zbrodnia nigdy kary nie ujdzie.

O CIETRZEWIACH.

Cietrzew' jest z tego samego rodzaju łownych ptaków leśnych co i jarząbek, większy tylko od niego. Podobny ze sposobu życia, mnożenia się, żywienia, przebywania w lasach i piór pstrych szaro-żółtawego koloru w czarne cętki, stanowi odmienny gatunek. Skrzydła ma ciężkie do lotu i dla tego najwięcéj przesiada na ziemi; spłoszony, zrywając się z miejsca leci nizko nad ziemią, z furczeniem głośnem w powietrzu, tak samo jak jarząbek i kuropatwa. Wszystkie też te trzy gatunki liczące się do rodzaju kur, gnieżdżą się na ziemi i nie odlatują od nas na zimę, jak inne ptaki wędrowne z lżejszym lotem.

Cietrzew' trzyma się brzegu lasu i gęstych zarośli, jarząbek głębi lasu i gęstwiny drzew liściastych, a kuropatwa pola; ta szuka krzaków tylko dla lęgu i dla chronienia się przed jastrzębiem. Cietrzew' latem żywi się jagodami leśnemi, w zimie zaś tak jak jarząbek, pączkami drzew liściastych, jako to: brzozy, leszczyny i innych. Zwykle chodzi żerując po ziemi; spłoszony tylko wzlata lecz nie wysoko, i odleciawszy daléj, zapada w gęstwinę. Zimą siada na drzewach.

Na wiosnę zaraz z pozimku, cietrzewie z brzaskiem dnia wylatują na *tokowisko*, czyli grę do parzenia się w miejsca, gdzie pomiędzy zaroślami są halizny lub pólka, na około krzakami osłonięte. Bełkotanie samców jednotonne: *bulu, bulu, bulu*, przy spokojnem powietrzu, daje się słyszeć o ćwierć mili. Myśliwi ostróżnie wypatrzywszy tokowisko, zasiadają tam na noc, ażeby przed świtem być na miejscu i na przylatujących cietrzewi czatować. Koguty najpierwéj tam zlatują się i grę rozpoczynają. Jak się one dobrze zatokują, na co strzelec czeka, wtedy dopiero strzela, czego cietrzew' nie słyszy: nie trafiony bowiem, po chybionym strzale z miejsca nie odleci i po niejakiéj przerwie, znowu grę rozpocznie. Kiedy się zaś uciszy, wtedy najmniejszy szelest go spłoszy i natychmiast uleci.

Dla przywabienia cietrzewi z tokowiska w miejsce dogodne do strzału, myśliwi ustawiają na krzaku zrobionego na podobieństwo do nich *bałwana*, do którego kogut przyleci i na gałęzi siada, nieraz nad głową strzelca. Wszakże polowanie wtedy, tak na *cietrzewia*, jak i na *jarząbka*, oraz na *kuropatwę* i *słomkę*, kiedy się wabią i w pary idą, jest niewłaściwe, gdyż to wyniszcza te ptaki na porę ich mnożenia się, przez co u nas te trzy gatunki są nieliczne, szczególnie też cietrzewie i jarząbki w lasach rzadko się znajdują. Polowanie na tę zwierzynę, powinno się odbywać nie na wiosnę kiedy jest chuda, ale w jesieni kiedy ptaki są tuczne, wtedy i mięso ich ma smak właściwy.

Największym niszczycielem ptastwa gnieżdżącego się na ziemi, tak jak i młodych zający, jest *lis* mięsożerny, z ostrym węchem, nieustannie sznurujący po polach i lasach za żerem. Szkodnik ten wytępiany być powinien i tylko tam oszczędzany, gdzie na polach mnóstwo myszy wyniszczając plony zboża, znaczne szkody zrządza. Każda samica siedząca na gnieździe, kiedy pisklęta są jeszcze małe lub bliskie wylęgnięcia, przytuliwszy się twardo, dosiaduje tak, że na nią prawie nastąpić można. Wtedy lis chwyta ją i z całem gniazdem niszczy.

Powyższa wzmianka o sposobie polowania na cietrzewie, przypomina trafną nauczkę, jaką nasz

poeta *Karpiński* raz dał młodzikowi w towarzystwie, gdzie była mowa o składaniu wierszy. Do-



Cietrzew'—Samiec (do str. 56-tej).

wcipniś chcąc się popisać z konceptem i zażartować z poważnego męża, spytał go, jakiby to mógł być rym do wiersza kończącego się na wyraz: *cietrzew'*? Poeta na to zaraz mu tak powiedział:

Leciał cietrzew'
Przez wiele drzew,
Nie znalazł *bałwana*,
I siadł na wacpana!....

Tak lekkomyślność śmiałka skarconą została.

Benedykt Aleksandrowicz.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.